

*Życie Literackie, Kraków
nr 6 (1150) 10 lutego 1974*

JAN PAWEŁ GAWLIK

Dyskusja o Nocy Listopadowej

CO JEST LEGENDĄ? CO JEST PRAWDĄ?

Tadeusz Hołuj zaszczylił polemiką *) moje uwagi o bohaterach powstania 1830, snute na marginesie Wajdowej „Nocy listopadowej” w Starym Teatrze, a wydrukowane w 2 (1146) nrze „Życia Literackiego” i przedrukowane potem w programie przedstawienia. Uczynił mi tym prawdziwą, a nawet podwójną przyjemność. Raz jako autorowi umiającemu docenić powagę i zręczność przeciwnika, dwa jako kierownikowi sceny, która prowokując, niechby pośrednio, podobne repliki przyczynia się tym samym do szybszego obiegu myśli i namietności wokół spraw nieporównanie ważniejszych niż sukces lub porażka prezentowanej inscenizacji. W odpowiedzi Tadeusza Hołuję jedna rzecz wydaje się całkowicie oczywista, dwie — sporne.

Bezsporna jest, jak sądzę, metoda. Metoda wyjasniania, a w rezultacie doprowadzania do absurdu twierdzeń przeciwnika. Imputowania mu opinii, których jako żywo — nigdy nie wygłaszał. Ośmieszenie tak podanych twierdzeń, kreowanie autora na tegoż durnia staje się po takim zabiegu dziecinnie łatwe. Tak łatwe, że aż — za łatwe. Nigdzie — na przykład — nie pisałem, że „cała literatura romantyczna pisana przez pokolenie listopadowe i jego epigonów (...) fałszuje fakty historyczne” ani też, że „sytuacja nie była rewolucyjna”. Są to supozycje Hołuję, który sugeruje uprzejmie, że powstały pod moim piórem. Nie powstały. Pisałem natomiast, że „fakty są zwykle mniej dyskusyjne, sporne są natomiast interpretacje”. Sumując to „streszczenie”, sugerowana mi opinia lub też uzupełniający komentarz Hołuję: „Gdyby nie powstanie, już by Wielki Książę bez przeszkód mógł realizować polską rację stanu” — staje się w ten sposób koronnym przykładem zręczności zastosowanej metody. Zawiera bowiem zupełnie jednoznaczna kwalifikację przeciwnika. Kwalifikację tak radykalną, że aż w nieco dwuznacznym świetle ustawiającą samego obrońcę narodowej ortodoksji. Jeśli bowiem przeciwnik jest prostaczkiem — z kim tu (i o czym?) dyskutować? Ja też, odpowiadając Hołujowi, mogłbym przypisać mu opinię, że gdyby np. gen. Skrzynecki zreczniej spisał się pod Ostrołęką, inaczej wyglądałaby dzisiejsza mapa Europy... Mogłbym, ale nie uczynię tego — nie jest to bowiem rzetelna polemika. Tak więc następna figura retoryczna, którą poznajemy tuż po zacytowanym wyżej zdaniu, prawdziwe uderzenie w dzwon erudycji i powagi („Czegoś podobnego nie udało mi się jeszcze czytać, jakkolwiek wiele lat poświęciłem studium powstania listopadowego, pisząc „Królestwo bez ziemi” i poznając najsporniejsze opinie”), jest już, jak się zdaje, całkowicie zbyteczna. Jest nawet, być może, ociupnie ryzykowna — wciąga bowiem polemikę na niebezpieczne (bo odsłonięte) obszary. Na twardy grunt faktów, gdzie łatwo o konfrontację i gdzie na niewiele zda się zręczność szermierza i wiedza historyka. Autor „Królestwa bez ziemi” nie mógł przeczytać „czegoś podobnego” z tej prostej przyczyny, że najpewniej „coś podobnego” nie zostało nigdzie napisane. Również — za co przepraszam — nie w moim artykule wydrukowanym w „Życiu Literackim”.

Przejdźmy teraz do spraw poważniejszych. Do zdarzeń, które obok wiedzy wymagają także wyobraźni. Nazwałem Wielkiego Księcia „polonofilem” i określenie to bardzo Hołuję zbulwersowało: „Twierdzić, że

był polonofilem z wyboru, orędownikiem polskiej racji stanu, można tylko nie znając historii”. Ładnie to i mocno powiedziane. Lubię takie słowa, niechby tylko w polemice. Cóż z tego jednak, kiedy sam Wacław Tokarz, autor dwu podstawowych monografii o powstaniu listopadowym, a za nim Tadeusz Hołuj, przyznają zgodnie, że w nocy z 29 na 30 listopada był jednak taki „moment, kiedy Konstanty mógł stłumić powstanie: kiedy cała jazda rosyjska skoncentrowana była w Alejach”. Ja też o tym pisałem. Mnie nawet moment ten wydał się szczególnie istotny dla militarnej oceny pierwszych godzin. I nader ważny dla psychologicznej charakterystyki wielkorządcy. Dlaczego więc Konstanty nie atakował? Bo stchórzył — z całą prostotą odpowiada na to pytanie Tadeusz Hołuj. Bo był bardziej złożony, bardziej „rozdwojony w sobie”, niż wynika to z naszych upraszczających rzeczywistość wyobrażeń — odpowiadam z przekonaniem, na użytek naszej inscenizacji, ale są to już interpretacje; sam fakt nie budzi wątpliwości. Dlaczego więc, gdy piszę, że w nocy 29/30 listopada Konstanty „czapkami mógł zdusić młodzieńczy wyskok podchorążych”, autor „Królestwa bez ziemi” odpowiada twierdząc: „Nie mógł”. „Zdusić czapkami” jest oczywiście pewną emfazą, banałem stylistycznym. Chodzi o możliwość stłumienia powstania w nocy z 29 na 30 listopada. Więc jak: mógł czy nie mógł?

Osobiście zdumiewa mnie zacięłość, charakterystyczny brak krytycyzmu, z jakim polska opinia historyczna ściga frapującą postać tego człowieka. Jego wady są bezsporne, doskonale znane. Ale zalety? Motywy? Racje postępowania? To wszystko, czego nie wyjaśnia ani inwektywa ani dotychczasowa, uproszczona jednak wiedza o jego postępowaniu? To, nad czym każą zamyślić się fakty? Nasza inscenizacja jest m. in. próbą takiej refleksji. Próbą zgodną zarówno z tekstem Wyspiańskiego, jak i z tym, co się o Konstantym wie czy też raczej: nie wie. Tymczasem Hołuj (a za nim zapewne i wielu innych ortodoksów naszej przeszłości) gromi mnie za samą próbę takiej wizji. Jeden rzeczownik wywołuje burzę godną z pewnością lepszej sprawy. Czy już nikt nie ma u nas prawa napisać o czymś inaczej, niż wynika to z przyjętych ogólnie dogmatów i wyobrażeń?

Retoryczne to pytanie odnosi się również do Zygmunta Grenia, który w omówieniu przedstawienia dworuje sobie dowcipnie z naturalnych w teatrze prób rewolucyjności zastanych sądów i tradycyjnych wyobrażeń. Cytuje w tym celu Asnyka okpiwającego bez pardonu krakowską szkołę historyczną:

I nicując dawne sądy
Nie powstrzyma się w zapędzie,

Aż dowiedzie, że król Herod
Dobroczyńcą był dla sierot.

Bardzo to, z pewnością, zabawne. Ale czy słuszne? Wracajmy jednak do rzeczy. Gromiąc mnie za historyczne i literackie dywagacje wokół osoby Wielkiego Księcia Hołuj obarcza go równocześnie pełną odpowiedzialnością za wszystkie bez mała gwałty i grzechy caratu. Jakby w samym układzie sił w Rosji i Polsce lat 1825—31 nie było różnych tendencji, interesów i namietności politycznych. Jakby Wielki Książę bardziej był sojusznikiem niż przeciwnikiem Mikołaja I. Jakby nie było w całej sprawie wszechwładnej i piekielnie inteligentnej pasji i działalności Nowosilcowa („Nowosilcow przyjechał z Warszawy”), nie wybierającego w środkach rusyfikatora, najgroźniejszego wroga autonomii Królestwa Polskiego i jej rzeczywistego grabarza. A przez to rzeczywistego, najgroźniejszego przeciwnika Wielkiego Księcia. Jakby ten Wielki Książę nie był osobiście zainteresowany w rozszerzaniu lub budaj utrzymaniu autonomii Królestwa. Nie chcąc nużyć czytelnika powtarzaniem raz już użytych argumentów, zacytuję Mariana Brandysa, który w swoim znakomitym „Końcu świata szwależerów” tak pisze o Wielkim Księciu:

„Dwaj pełnomocnicy warszawscy «cesarza i króla» (tj. Konstanty i Nowosilcow — przy. mój JPG) mieli zupełnie odmienny stosunek do zunifikowanego z Cesarstwem Rosyjskim odrębnego państwa polskiego. Konstanty — przy całej swej dzikości, wariactwach i despotycznym sposobie rządzenia — odczuwał jakiś swoisty sentyment do Polaków i snobował się na polskość. Dawał tego dowody jeszcze w młodości. (...) Później jeszcze wiele razy zadziwiał Polaków równie nieoczekiwanymi demonstracjami sympatii propolskich, aż po incydent ostatni, zanotowany przez kronikarzy, kiedy to uchodząc z wojskami z ogarniętego powstaniem Królestwa — próbował siłą rozbroić interwencyjny korpus rosyjski Rosena, zamierzający wkroczyć na terytorium polskie. Ale pogląd Cesarzowicza na sprawę polską wynikał nie tylko z sympatii do Polaków. Niezależnie od względów sentymentalnych Konstanty był osobiście zainteresowany w istnieniu Królestwa Polskiego i również jak Polacy dążył do poszerzenia jego granic. «Wielki Książę nie lubił konstytucji i liberalizmu, ale chciał mieć duże państwo polskie» — powie o nim znakomity historyk epoki. W pierwszych latach Królestwo było dla Konstantego tylko ukochaną zabawką, okazją do pełnego zaspokojenia pokretnych ambicji wojskowych. Później (...) istnienie odrębnego państwa polskiego stało się dla Cesarzowicza racją bytu”.

Hołuj nie uznaje jednak tego argumentu. Uprowadzając go pisze: „Wielu autorów (a także sam Konstanty) mówiło, że lubi Polaków a na-

wet, że nienawidzi Rosjan, ale z wszystkich dokumentów wynika, że po pierwsze lubił ich tylko jako przedmiot swojej absolutnej władzy; a po drugie, o tyle o ile odpowiadali jego ambicji posiadania s w o j e g o państewka. Tym ideałem było jednak państwo carów, samodzielnawie na skalę Królestwa”.

Zostawmy na boku sprawę: lubił czy nie lubił. A jeśli lubił, to jak lubił i czy jest to już polonofilizm czy jeszcze nie. Gorzej, że autor „Królestwa bez ziemi” o pierwszej ćwierci XIX wieku myśli wyraźnie kategoriami jego drugiej połowy. Jakby nie pamiętał, że przytłaczająca większość monarchów myślała wówczas jeszcze o swoich państwach w taki właśnie, własnościowy sposób. Jakby nie chciał wiedzieć, że kształtowały się dopiero formy demokracji. Cóż więc dziwnego że w bólach i w paroksyzmach tych przedziwnych zderzeń parlamentarizmu z samodzielnawiem, jakich terenem było Królestwo Kongresowe, parlamentarizm okazał się słabszym partnerem. Jeśli nie ma się wolnego wyboru, racja stanu staje się diablo elastyczna, a nawet, jak widać, nie zawsze zrozumiała.

Raz jeszcze zacytuję Brandysa: „Apollo Belwederski zdradzał często cechy psychopatyczne, lecz głupcem nie był” I (również za Brandysem) Nowosilcowa, raportującego Mikołajowi I:

„Jego Cesarzewiczowska Wysokość rozmawiał z Księciem-Namiestnikiem, który powiedział Mu szczerze, «że nie ufa już więcej swemu narodowi, bo go poznał i że skłonny jest wierzyć, iż wszystko, co doniesiono w materii tych towarzystw, jest aż nadto prawdziwe». Jego Cesarzewiczowska Wysokość wpadł w gniew i powiedział księciu Zajączkowi, w mojej obecności, wiele bardzo przykrych rzeczy, jak np. «że on, Cesarzewicz, jakkolwiek cudzoziemiec, jest lepszym niż książę Polakiem i że bierze na siebie obronę Polaków przed Waszą Cesarzką Mością...»”.

„Twierdzić, że był polonofilem (...) można tylko nie znając historii” Hm. Jakby to powiedzieć? Niżej podpisany rzeczywiście nie jest historykiem. Mimo że przeczytał w życiu parę książek o powstaniu listopadowym, traktując to jako swoje najzupełniej prywatne hobby, ani równać się może z historyczną erudycją Tadeusza Hołuję, który „wiele lat poświęcił studium powstania listopadowego”. Czy jednak historii nie zna również Marian Brandys, autor kilku wybitnych książek o ludziach i wydarzeniach z pierwszej połowy XIX w.? Docieklawy szperacz o świetnej, właśnie psychologicznej wyobraźni, niezbędnej zarówno historykowi jak i pisarzowi — podobnie jak niezbędne są im fakty, byle odarte z apriorycznej, deformującej obraz emocji?

I tutaj dochodzimy do ostatniego, najważniejszego punktu sporu. Ta-

deusz Hołuj jest przekonany, że „powstanie listopadowe było zarówno konieczne jak i możliwe” oraz że wynikało „z obiektywnej sytuacji kraju i narodu”. Inaczej mówiąc: że miało szanse. A ja nie jestem tego taki pewien. Hołuj opiera się na tym, co by być mogło, mnie interesuje raczej to, co było. Ale ja szanuję przekonania przeciwnika. Wiem też bardzo dobrze, ile polska historia i polska świadomość narodowa zawdzięcza tym 161 podchorążym, którzy „bez chwili wahania ruszyli za Wysocim” (Tokarz) I mimo że mam poważne, uzasadnione wątpliwości w sprawie militarnych i politycznych szans powstania, nie sprowadzam wiary Hołuję na grunt absurdu. Chłone natomiast jego racje i wdzięczny mu jestem za zabranie głosu. Osobiście bowiem ceniąc sobie każdy, niechby nawet mniej uzasadniony przejaw krytycyzmu wobec uświęconych wyobrażeń i kańców, lubię wymianę myśli, różnicę zdań, której nie wielbi z kolei, jak się zdaje, Hołuj. Cóż — różnica upodobań, może temperamentów. Ale Hołuj jako doświadczony pisarz (także dramaturg) powinien wiedzieć, że teatr to takie dziwne miejsce, w którym obok intencji i myśli autora, aktora i reżysera, pojawia się niespodziewanie również intencja i myśl widowni. A ta nie jest dziś wolna od refleksji o ocenie i racjach powstania. Każdego powstania — chociaż najpóźniej tego z 1944 Teatr, który wystawia dziś dzieło o temacie i wadze „Nocy listopadowej” decyduje się na każdorazową, ponawianą ze spektaklu na spektakl, konfrontację historii ze współczesnością. Nie zawsze jest to bezkarna zabawa. Powinna jej towarzyszyć zwiększona uwaga i świadomość przedsięwzięcia. Teatr powinien więc reakcje swojej widowni przewidzieć i powinien ją, w miarę możliwości, antycypować. Zarówno w symbolach i treściach samego przedstawienia, jak i w jego interpretacji. Powinien to uczynić dla lepszego współbrzmienia sceny i widowni. Dla pełniejszego oddziaływania swojej sztuki. Oczywiście, jeśli chce być teatrem współczesnym. Jeśli trud realizacji łączy w swoich intencjach z ambicją kształtowania wyobraźni i świadomości swego odbiorcy. Andrzej Wajda podjął się takiego trudu. Ja pospieszyłem z próbą motywacji. Nie był to może — w styczniu 1974 — wysiłek daremny. Nawet jeśli Tadeusz Hołuj ma całkowitą rację, a my się — obaj z Wajdą — głęboko mylimy.

JAN PAWEŁ GAWLIK

*) Tadeusz Hołuj „Prawda i legenda o Nocy Listopadowej”, „Ż. L.” nr 4 (1148) z 27. I. 1974.